

A close-up portrait of a woman with long, dark brown hair and light brown eyes. She is looking directly at the camera with a slight, gentle smile. Her skin is fair, and she is wearing a light pink lipstick. The background is a soft, out-of-focus grey.

**KATARZYNA
CICHOS**

**MOJA DROGA
MOJA POLSKA**

BookEdit

**KATARZYNA
CICHOS**

**MOJA DROGA
MOJA POLSKA**

BookEdit

[Kup książkę](#)

Copyright © Katarzyna Cichos, 2025

Projekt okładki: Dawid Duszka

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-87-1

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

[Kup książkę](#)

Zanim rozpocznę

Kiedy powiedziałam, że chciałabym napisać autobiografię, usłyszałam, że chyba za 30 lat... Trudno się z tym nie zgodzić. Gdy zaczęłam pisać, miałam 35 lat. Gdy ją kończę, mam 38. Co ma do napisania trzydziestolatka? Ta książka mogłaby być o każdym dziecku, które urodziło się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, tj. w czasie, w którym powiało nadzieją, choć jeszcze jak resztki śniegu po zimie widać było biedę, czuło się wiosenny powiew zmian – udana transformacja ustrojowa, zakończona sukcesem akcesja do Unii Europejskiej (UE) czy Sojuszu Północnoatlantyckiego (NATO). Przez krótką chwilę wierzone, że się da i do nas właśnie należy przyszłość. optymizm transformacji sprawił, że wiele osób uwierzyło, że marzenia o życiu, jakie chcemy prowadzić, po prostu mogą stać się rzeczywiste. Trudności czy przeszkody będą zawsze, ale skoro starsze pokolenie Polaków osiągnęło tak dużo, to nie ma rzeczy niemożliwej dla naszego.

A jednak coś się zacięło. Jakby nienaoliwione sprężyny z biegiem lat zaczęły powodować niepotrzebne tarcia, doszło do korozji pewnych środowisk. To, co było spoiwem, zaczęło dzielić. Wojna totalna

wszystkich ze wszystkimi nie pozostawia miejsca dla tych, którzy nie zaciągali się do żadnego wojska. Ani tego dobrego, ani tego złego. W państwie wojny totalnej jest miejsce tylko dla wiernych żołnierzy jednej czy drugiej strony.

Gdzie jest dziś oś tak krwawego sporu? Pomiędzy tymi, którzy chcą ocalić system wartości chrześcijańskich, dziedzictwa, pamięci kształtowania wolnego narodu również przez Kościół, a tymi, którzy chcą demokracji, silnych instytucji i pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Co zatem jest złem? Wartości czy demokracja? Do którego wojska się zapisujesz?

Ja nie zapisalam się do żadnego. Co więcej, polubiłam poznanych po jednej i drugiej linii okopów. I co gorsze, każda ze stron nauczyła mnie bardzo dużo, choć z czasem, gdy walki się nasilały, stawiałam się wrogiem jej lojalnych żołnierzy.

Pokoleniu wolności narzucono wojnę absurdu. Generałowie to starzy weterani walk o wolność, którzy najzwyczajniej w świecie nie potrafią żyć w czasach pokoju. Walka jest ich żywiołem. Istnienie wroga uzasadniania potrzebę ich istnienia, ich życia. Niczym bohaterowie powieści, którzy marzą o powrocie Napoleona czy innego przywódcy, by móc znowu wyruszyć na front.

Dzisiaj, choć nie musimy walczyć o niepodległość czy wolność, musimy zacząć walczyć o nasz rozwój, który zagwarantuje pokój. Tylko rozwój daje możliwość utrzymania wolności i niepodległości. „Walka” o rozwój wymaga jednak innych instrumentów niż walka o wolność czy niepodległość. Walka o rozwój wymaga przede wszystkim jedności, debaty, konsensusu, rozważań, odpowiedzialności za siebie,

swoją rodzinę i społeczność, w której żyjemy. Walka o rozwój wymaga poświęcenia dla sukcesu drugiego człowieka... Poświęcenia swojego egoizmu, swojej zazdrości czy wręcz chorobliwej zawiści. Patrząc na niski pułap naszej życzliwości, wydaje się, że dziś wielu Polaków chętniej oddałoby życie za ojczyznę, niż pozwoliło (gdyby mogło o tym decydować), by sąsiad miał lepszą pracę. Rozwój wymaga współpracy, wsparcia, partnerstwa i zaufania. Nie kolesiostwa czy nepotyzmu, ale stworzenia przestrzeni, w której każdy będzie mógł wykorzystać swoje talenty dla dobra społeczeństwa, czyli dobra nas wszystkich.

Autobiografia, którą napisałam, jest w pewnym sensie obserwacją własnej drogi i poznawania tego, czym właśnie jest rozwój i gdzie dzisiaj ukryli się nasi wrogowie. Podobno w życiu nie ma przypadków, zatem być może nieprzypadkowo stałam się świadkiem i kularowym uczestnikiem większości wydarzeń politycznych ostatnich kilkunastu lat. Kulary świata polityki pozwoliły mi zrozumieć, że wrogami państwa polskiego nie są dziś członkowie czy zwolennicy takiej czy innej partii. Naszym wrogiem jest brak zaufania, dialogu, umiejętności poszukiwania konsensusu, zrozumienia, szacunku dla odmienności, ale też świadomości siebie i prawa do szacunku własnej tożsamości.

Starzy generałowie, obeznani z klasyczną wojną z wrogiem, którego trzeba nie tylko nazwać, ale i widzieć, nie rozpoznali niebezpieczeństw XXI wieku i z nas samych zrobili wrogów. Nieuleczonymi chorobami są niezreformowane w drodze dialogu i konsensusu systemy edukacji, zdrowia i sądownictwa. System polityczny zbudowany w oparciu o konflikt i podział spowodował, że gdy jedna ekipa wyłaziła gdzieś fundamenty z żelbetonu, to druga decydowała się w tym

samym miejscu postawić basen. Inwestycje jednych niszczą drudzy. Zamiast walczyć o rozwój, zwalczamy siebie. Zamiast zabiegać o lepsze szkoły, oskarżamy nauczycieli, zamiast zadbać o szpitale, zmagamy się z lekarzami, zamiast zadbać o sprawne sądy, atakujemy sędziów, zamiast zabiegać o rozwój przedsiębiorczości, kładziemy kłody pod nogi osobom przedsiębiorczym. I tak w nieskończoność.

Zdecydowałam się opisać trzydzieści osiem lat mojego życia, by pokazać je z perspektywy sukcesu. Sukcesu walki o wolność i niepodległość zasłużonych generałów. Ale też z perspektywy porażki i sytuacji, które nie powinny mieć miejsca w wolnym i bardzo dobrze rozwijającym się państwie z takim potencjałem, co tylko wykaże zapotrzebowanie na ludzi pracowitych i ambitnych, choć to bardzo niepopularne słowo w naszym kraju. Nie będziemy jednak ambitnym społeczeństwem z aspiracjami na arenie międzynarodowej, jeśli nie będziemy mieli ambitnych (czyli chcących więcej, ale przez to pracujących dla dobra danej instytucji, zakładu pracy i naszego wspólnego rozwoju więcej) obywateli. Nie będziemy ambitnym i rozwijającym się społeczeństwem, jeśli nie damy tym ambitnym szansy rozwoju.

Dziś często władzę sprawują ludzie, którzy mówią, że się nie da, a tych, którym się chce, zamyka się w szafach, bo niby mają czas, albo najzwyczajniej w świecie się ich niszczy. Historia mojego życia to opowieść o osobie, którą od początku dorosłego życia ktoś chciał albo zniszczyć, albo zamknąć w szafie. Ale to też historia zwykłego człowieka, którego nikt nie potraktował lepiej ani gorzej, ale po prostu miał „tak jak każdy zwykły człowiek”, „każdego niszczyli”... Takie stwierdzenia słyszałam setki razy. I bardzo często dodawano jeszcze

(i to osoby na wysokich i ważnych stanowiskach), że dlatego trzeba odpuścić i zająć się sobą, korzystać, dopóki się da. Zmęczenie tym stanem rzeczy, bezradność, a jednocześnie obojętność na jawne nieprawidłowości sprawiły, że praktycznie straciłam wszystko, na czym mi zależało, i zaczęłam pisać. Była to terapia. Pisanie o czasach szkolnych, studiach czy działalności lokalnej pozwoliło mi przypomnieć sobie, że nie wszędzie są sami cynicy czy cwaniaki. Na swojej drodze spotkałam też ludzi czynu. Czasem brakowało im narzędzi, wiedzy, umiejętności, ale próbowali coś zmienić.

Zdecydowałam się zamienić tę moją psychoterapię w książkę. To publikacja nie tylko o moim życiu, ale też o kulisach polskiej polityki. Bo serdecznie dość mam patrzenia na lekceważenie i poniżanie ludzi kompetentnych i pracowitych, tych poukrywanych po szafach. Jeszcze trudniej mi patrzeć na tych, którzy udają, że rządzą, choć są jedynie fasadami, pustymi dzbanami, aktorami oszukującymi polskie społeczeństwo. Mam nadzieję, że ta książka i powód, dla którego powstała, stanie się drogą nie tylko dla mnie, ale też dla tych, którzy zasługują, by w końcu móc efektywnie budować Polskę.

Koniec, początek, czy tylko kolejny rozdział?

W czerwcu 2016 r. dowiedziałam się, że jestem „działaczką popieraną przez antypolskich separatystów”. Tak głosił tytuł artykułu zamieszczonego na portalu Wpolityce.pl. Przez następne osiem lat zastanawiałam się, co jest gorsze – śmierć czy śmierć publiczna. Próba morderstwa czy próba zabicia czyichś marzeń, planów, życia.

Siódmego czerwca, po wielu latach konsekwentnej walki, w końcu zaplanowano obronę mojego doktoratu. Od dwóch lat byłam radną miasta Siemianowice Śląskie. Za miesiąc miałam objąć stanowisko kierownika referatu i wicekonsula w Konsulacie Generalnym w Manchesterze w Wielkiej Brytanii. Był to moment przełomu, miałam wyjechać i realizować swoje marzenia. Kilka lat wcześniej po stażu w ambasadzie w Kenii byłam zachwycona pracą w dyplomacji. Zatrudnienie w konsulacie to nie do końca to samo, ale od czegoś trzeba zacząć. A pracę w dyplomacji zaczyna się zazwyczaj od stanowisk konsularnych. Moim głównym zadaniem miała być opieka nad Polakami w UK i pomoc konsularna. W związku z tym, że od lat uczestniczyłam w życiu społecznym swojego miasta i regionu, w tym tworzyłam lub

wspierałam szereg organizacji, miałam nadzieję, że uda mi się wspomóc integrację rodaków w UK. Chciałam też wyjechać.

Niecałe dwa miesiące wcześniej skończyłam 30 lat. Pomimo młodego wieku, na który i tak nie wyglądałam i nadal nie wyglądam, czułam się, jakbym przeżyła już 60. W czerwcu 2016 r. nie byłam zmęczona, byłam wycieńczona. Miałam za sobą sześć lat bardzo skomplikowanych studiów doktoranckich, w czasie których wydawało mi się, że robię doktorat wbrew całemu światu. Przeżyłam trudne chwile, angażując się w życie samorządu, czyli wejścia w politykę. I to politykę bardzo brutalną. Miałam w końcu za sobą kilka miesięcy szkoleń przygotowujących do wyjazdu, przy równoczesnym finalizowaniu doktoratu. W tym czasie niejednokrotnie dwa lub trzy razy w tygodniu wyjeżdżałam o 4.20 z Katowic, by około 24.00 do nich wrócić, gdyż musiałam być obecna na uczelni czy w Radzie Miasta. W ciągu kilku miesięcy nie tylko zdawałam egzamin dopuszczający do obrony, ale też uznawany za bardzo trudny konsularny. Nie wiem, ile osób (zwłaszcza tzw. z zewnątrz, czyli spoza MSZ) przede mną czy po mnie awansowało, zanim wyjechało na placówkę. Mnie się udało. Po egzaminie podniesiono mi stopień dyplomatyczny, który miałam otrzymać, wyjeżdżając na placówkę, na którą, jak na ironię, nigdy nie dotarłam.

Przez lata słuchałam o wielomiesięcznych przygotowaniach do obrony. Znajomi przesuwali terminy, by jeszcze lepiej się nauczyć. Ja za miesiąc miałam wyjechać, a na głowie tysiąc spraw do załatwienia. Brakowało mi czasu na naukę. Jedno z ostatnich szkoleń odbywało się w środę, a obrona już we wtorek. Pozostały mi zatem cztery dni.

Dodatkowo w niedzielę odbywał się doroczny festyn parafialny, przy którego organizacji pomagałam. Przygotowanie fantów na loterię, rozstrzygnięcie konkursu plastycznego czy sprzedaż cegiełek w dniu festynu okazały się priorytetowe. Doktorat czekał.

O moim planowanym wyjeździe wiedziało bardzo wąskie grono – najbliższa rodzina, mój promotor i wspierający mnie koledzy z Wydziału Prawa i Administracji (WPiA), Jacek i Ola. Przed samą obroną musiałam zdać trzy egzaminy – z języka obcego, filozofii i wiodącego przedmiotu, w moim przypadku było to publiczne prawo międzynarodowe.

W mojej Katedrze obowiązywały jasne zasady. Nasze sprawy załatwiamy we własnym gronie, na zewnątrz budując wizerunek silnej i zgranej grupy. Wzajemnie mieliśmy się więc wspierać, dlatego wiedziałam, że jeśli dojdzie do obrony, to będę miała doktorat. Moja porażka byłaby porażką Katedry, a tego nikt nie chciał. Egzamin przedmiotowy to ostatni moment, w którym moja obrona mogła być wstrzymana. Można się wiele uczyć, ale egzaminator, jeśli chce, zawsze znajdzie jakiś słaby punkt, tego się nie przeskoczy.

Informacja o wyjeździe na placówkę mogła mi zaszkodzić. Dopuszczono mnie do obrony, w ramach wymuszonej interwencji nowej kierownik Katedry, ratującej kilka lat mojej pracy. Osoby takie jak ja, tj. z zewnątrz, nie miały szans obronić doktoratu. Mnie udało się wywalczyć nieformalną „procedurę”: „damy ci doktorat, ale wiesz, jak jest”, tzn. i tak musisz odejść. To oznaczało, że i tak nigdy i nigdzie (bo ktoś tego dopilnuje) go nie wykorzystam. Placówka konsularna i perspektywa mojego normalnego życia oznaczała zatem klęskę tej strategii,

a uzyskanie doktoratu nabierało zupełnie nowego znaczenia. Wszyscy mieliśmy tego świadomość.

Egzamin przedmiotowy zdałam. Tego dnia chyba wszyscy mieliśmy poczucie, że teraz to już nikt mi nie zaszkodzi. Emocje opadły. Idąc z Jackiem po korytarzu, spotkaliśmy Tomka, przyszłego prorektora UŚ. Chwila odprężenia, którą czułam nie tylko ja, ale również ci, którzy mieli świadomość, jak długa i uciążliwa była to droga, sprawiły, że Jacek przy okazji stwierdził, że teraz już nic mnie nie zatrzyma (no bo wiadomo, etap zamkniętych rozgrywek katedralnych mam za sobą) i mój wyjazd do UK jest przesądzony. To był niewybaczalny błąd. Dwa tygodnie przed obroną, a półtora miesiąca przed wyjazdem koledzy z uczeni poznali moje plany.

Dwa dni później koleżanka poinformowała mnie, że wszyscy już wiedzą o moich planach. Ona sama usłyszała o tym przy okazji jakiegoś spotkania. Nie miałam pojęcia, że to będzie taki news. W tym czasie sama wciąż byłam w drodze do Warszawy i z powrotem. Jeździłam na ostatnie szkolenia i spotkania, nie miałam więc czasu na przejmowanie się gadaniem ludzi. Informacja rozeszła się szybko nie tylko na uczelni, ale też po mieście. Dostałam kilka zaproszeń na wydarzenia, na które normalnie nie byłabym zaproszona. Ale też rozpoczął się dziwny proces nękania mnie poprzez swoiste gratulacje i przepraszanie za publikacje...

Jeden z radnych na profilu Facebooka, który wówczas był polubiony przez około 140 osób, pogratulował mi nominacji. Informację, a w zasadzie plotkę, o nominacji wcześniej potwierdzono. Z jakiegoś powodu MSZ, choć nie byłam ich pracownikiem i nie miałam

oficjalniej nominacji, potwierdziło w trybie dostępu do informacji (odpowiedzi należy udzielić w ciągu 14 dni, a tym razem, naruszając moją prywatność, bez konsultacji ze mną udzielono jej od razu), że zostałam wskazana na to stanowisko. Informację tę zacytował kolega radny w swoich teoretycznie życzliwych gratulacjach. Potem rozpoczął się cykl telefonów. Wypytywał, czy mi nie zaszkodził, że ten wpis to miały być gratulacje. Dzwoniły też inne osoby. Rozmowy były krótkie. W tym czasie byłam zaangażowana w festyn, w wolnych chwilach próbowałam przeczytać swój doktorat. Nie miałam czasu ani też ochoty myśleć o „życzliwości” kolegów. Czułam jednak, że coś się dzieje.

W poniedziałek w końcu mogłam skupić się na przygotowaniach do obrony. Nie miałam świadomości, że w sieci już żyje własnym życiem ANONIMOWY artykuł, że działaczka popierana przez antypolskich separatystów będzie wicekonsulem. Informację do artykułu zaciągnięto z profilu kolegi radnego. Jednocześnie w artykule pojawiały się informacje, jak ta, że jest związana z PiS, o czym nie można było przeczytać na FB. Przez kolejne lata ani policja, ani prokuratura nie uznały za stosowne, żeby wezwać radnego i zapytać, komu udzielił wywiadu. W poniedziałek troskliwy kolega zadzwonił, mówiąc mi o kolejnym artykule. Artykuł informował, że MSZ cofnęło moją nominację po rzekomych głosach sprzeciwu ze strony Polonii. Chwilę później zadzwoniło MSZ, które również z mediów dowiedziało się w ogóle o moim istnieniu. A na pewno o tym, że zapadły w mojej sprawie jakieś decyzje. Poproszono, bym przyjechała następnego dnia (co nie było możliwe ze względu na obronę, dlatego pojechałam do Warszawy

kolejnego dnia, czyli w środę) i nie udzielała żadnych wywiadów ani sprostowań do czasu wyjaśnienia sprawy.

Obrona doktoratu miała otwierać mi drogę do kolejnego etapu życia. Tymczasem nie doczytałam nawet do końca swojej pracy, nie mówiąc już o tym, jak trudno było zebrać myśli, by przygotować się do wystąpienia, w tym 20-minutowej prezentacji. Inne osoby (przyszli doktorzy) miały możliwość stanięcia w sali Rady Wydziału i przećwiczenia wystąpienia, był to niemalże rytuał. Ja musiałam przyjść i zamknąć temat. Dzień ten wyobrażałam sobie wiele razy. Pomocą rozwojową, o której miałam mówić, zajmowałam się od lat. Teoretycznie nie mogło zaskoczyć mnie żadne pytanie. To miał być mój dzień.

Tymczasem noc poprzedzającą spędziłam nie na przygotowaniu się do obrony doktoratu, ale na próbach wyjaśnienie dyrektorowi generalnemu MSZ tego, co się stało. Rano nękające telefony nie ustawały. Prawdziwie życzliwi i ci, którzy wciąż odgrywali rolę osób wspierających, dzwonili, by dopytać, czy wszystko w porządku. Zadzwoiła też Ola z informacją, że Tomka nie będzie na obronie, bo jest w USA, ale broni mnie na Facebooku i mam się nie poddawać. Zamiast myśleć o obronie przekonywałam ją, by on to zostawił, że to jakieś nieporozumienie i po obronie to wyjaśnię. Zaczęli też dzwonić dziennikarze, którym konsekwentnie odmawiałam komentarzy. Wcześniej ustaliliśmy, że moja rodzina nie będzie uczestniczyć w obronie. Za dobrze wiedzieli, jak wyglądało moje życie doktoranta, by mogli tak po prostu udawać, że wszystko jest super. Do dziś jednak ten dzień pozostaje dla nich najgorszym dniem w życiu.

Nadal pojawiały się artykuły na mój temat, włączyły się w to też media lokalne. Informacje z Radia Piekary prawie doprowadziły do wypadku moją ciocię, a siostra wpadła w taką złość, że dzwoniąc i podając się za mojego pełnomocnika, była tak przekonująca, że rozgłośnia zaprzestała wygadywania bzdur. Informacje przekazywali też blogerzy. Tego dnia cały Śląsk żył tym, że separatystka (czyli niby ja) ma zostać konsulem i trzeba coś z tym koniecznie zrobić, by MSZ nie popełniło takiej kolosalnej pomyłki.

Na wydziale inna doktorantka na powitanie całkowicie bezwiednie powiedziała: „O jesteś? Twój promotor już myślał, że nie przyjdiesz”. Pojawiłam się na swojej obronie. Też uważałam, że to niewiarygodne. Marek, który wcześniej uratował mój doktorat, godząc się być nowym promotorem i finalizując cały proces niezwykle sprawnie, przypuszczalnie również nie tak wyobrażał sobie finał swojego pierwszego doktoratu, zdenerwował mnie tego dnia zaraz przy wejściu, mówiąc trochę z wyrzutem, że „dopadła mnie polityka”. Za kwadrans miałam mieć obronę, a chciałam wybuchnąć. Jaka polityka? Działania na rzecz poprawy jakości życia w moim mieście, to ma być polityka, która w opinii praktycznie wszystkich słusznie niszczyła moją karierę dyplomatyczną. Wiedziałam jednak, że ta rozmowa nie ma sensu. Mój wybuch na kwadrans przed obroną też w niczym nie pomoże. Poszłam do swojego pokoju, w którym był Jacek. Nie potrafił udawać, choć był bardziej delikatny. Poinformował mnie, że dostaje informacje z różnych mediów społecznościowych i tam tego dnia byłam newsem. Jeżeli jednak miałabym kogoś nazwać przyjacielem, to był to właśnie on. Tego dnia, w 10 minut, mnie uspokoił. Nie mam pojęcia, o czym

rozmawialiśmy, ale po wyjściu byłam gotowa (choć zupełnie nieprzygotowana) do obrony swojej pracy doktorskiej.

Obrona ciągnęła się w nieskończoność. Wiedziałam, że „życzliwi” nie odpuszczą szansy, by dać mi do zrozumienia, że i tak jestem niekompetentna. Były pytania, zwłaszcza od recenzentki zewnętrznej, na które gdybym doczytała do końca doktorat i przypomniała sobie, że pisałam i tłumaczyłam w swojej pracy to, o co pytała czy wręcz stawiała jako zarzut, odpowiadałabym lepiej. Ale były też pytania nieprecyzyjne. Łączące różne mechanizmy, na które w ujęciu tematu, którym się zajmowałam, po prostu nie dało się dać jednoznacznej odpowiedzi. Polityka na rzecz rozwoju, której dotyczyła moja praca doktorska, jest bowiem nie tylko zagadnieniem prawnym, który opisywałam, ale też ekonomicznym i politycznym. Elementy te przenikają się i często praktyka pozostaje bardzo odległa od wiążących czy też niewiążących prawnych regulacji czy wytycznych.

Obroniłam się. Choć nie dostałam wyróżnienia. Miałam świadomość, że zważywszy na okoliczności, to był cud. Jednocześnie miałam przeświadczenie, że o temacie swojego doktoratu wiedziałam praktycznie wszystko i gdyby okoliczności były choć trochę bardziej sprzyjające, wypadłabym lepiej.

Po obronie jest zwyczajowy obiad. Najczęściej nowy doktor musi grzecznie informować młodszych kolegów, że w związku z tym, że bardzo dużo osób zgłosiło chęć uczestnictwa, a liczba miejsc jest ograniczona, muszą ustąpić pierwszeństwa. Na moim obiedzie miejsc nie zabrakło. Wszyscy mieli tysiące spraw do załatwienia w tym czasie. W pewnym sensie czułam ulgę. Nie lubię ludzi fałszywych. Moi

rodzice też nie byli zdolni usiąść z pewnymi osobami przy tym stole. Wówczas jednak jedynie podejrzewałam, skąd bierze się ta niechęć. Moje wątpliwości miały się rozwiać dopiero później.

Trudno było świętować sukces w chwili, gdy wiedziałam, że moja kariera w dyplomacji najprawdopodobniej się kończy. Poświęciłam kilka lat życia na coś, co za moment miało się okazać praktycznie bez wartości. Jedyną radość była z tego, że Ona mimo wszystko nie zaablokowała mi obrony. „Ona”, czyli była promotor, która choć na zawsze pozostanie ważną dla mnie osobą, bo praktycznie nauczyła mnie wszystkiego, w tym bardzo wyjątkowego, ukierunkowanego na praktykę spojrzenia na prawo międzynarodowe, to z jakichś nieznanych mi powodów stała się również kimś, kto – jak otwarcie powiedziano mi znacznie później – mnie po prostu nienawidzi. Tego dnia to Ona była zwycięzcą. Gdyby bowiem porównać tę sytuację do pozostałych zawodów, to trochę tak jakby zdobyć prawo wykonywania zawodu, a jednocześnie w tym samym praktycznie dniu zostać skazanym (choć w tym przypadku bez wyroku, co jednak nie ma żadnej różnicy) na dożywotni zakaz jego wykonywania. Tym samym mój dyplom wydawał się całkowicie bez wartości.

Następnego dnia o 4.20 wsiadłam do pociągu i pojechałam na spotkanie z dyrektorem generalnym MSZ. Odniosłam wrażenie, że faktycznie dobro pracowników, czy nawet potencjalnych pracowników MSZ, miało dla niego znaczenie. Moje życie już wówczas było dość skomplikowane. Niewątpliwie doszło do profesjonalnie zorganizowanej i zaplanowanej akcji medialnej, której nie organizuje się z powodu kogoś, kto ma być tylko wicekonsulem. Sytuacja była

absurdalna. Zasugerowano mi, bym przysłała rekomendacje osób, z którymi współpracowałam. Wiedziałam też, że standardowa procedura uzyskiwania dostępu do informacji niejawnych, prowadzona przez ABW, będzie w moim przypadku wyjątkowo skrupulatna. Nie miałam jednak nic do ukrycia.

Zaraz po wyjściu z MSZ zadzwoniłam, by poprosić o rekomendację Piotra Buchwalda (eksperta ds. górnictwa, jego wyzwania od lat wydawały mi się kluczowe nie tylko dla regionu, ale i dla całej Polski), który wówczas był mniej lub bardziej formalnym doradcą PiS ds. górnictwa i z którym miałam okazję współpracować. Patrząc na to, co PiS zrobił z górnictwem, mogę jedynie powiedzieć, że z naszych ówczesnych sugestii niewiele pozostało. Buchwald zgodził się od razu i praktycznie kolejnego dnia odbierałam odpowiednie zaświadczenia. O rekomendacje poprosiłam też osoby z Akcji Katolickiej, z którymi od lat współpracowałam, w tym te, które znały mnie od trzynastego roku życia i których zachęta do startu w wyborach samorządowych była jedną z decydujących. Osobom tym zabrakło odwagi. Nie oczekiwałam, że napiszą, jak aktywnym byłam członkiem. W zasadzie chodziło mi jedynie o potwierdzenie członkostwa. Wówczas zdałam sobie sprawę, jak niezwykła jest siła mediów. Można kogoś znać od dziecka, uczestniczyć podczas podejmowania przez niego kluczowych decyzji, wspierać, pomagać w poszukiwaniu sponsorów (co automatycznie, jak się okazało, nie było wystarczające, by wykluczyć podejrzenie nieświadomych kontaktów) i mimo wszystko uwierzyć w słowa napisane przez nieznanych sobie autorów. Nie wiem, czy jestem w stanie opisać, co czuje człowiek, który z dnia na dzień staje się posądzony

(a wręcz skazany bez wyroku, z automatycznym wykonaniem wszystkich negatywnych konsekwencji) o zdradę stanu. Do tego człowiek, który de facto w swej naiwności zaryzykował i ostatecznie poświęcił swoją pozycję, autorytet dla lokalnej społeczności, gdy ta nie jest w stanie dać mu potwierdzenia, bo się boi poświadczyć faktów.

Pomocy udzielili mi znajomi z Danii. Rok studiów, który tam spędziłam, chyba na zawsze pozostanie najlepszym w moim życiu. Mimo że od mojego powrotu upłynęło kilka lat, osoby, które znały mnie zaledwie kilka czy kilkanaście miesięcy, w imieniu duńskiej Polonii napisały do sekretarza stanu odpowiedzialnego za współpracę z Polonią i Polakami za granicą w mojej sprawie. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ja swoich poznałam w trakcie studiów w ramach programu Erasmus.

W kolejnych dniach miałam też przejść spotkanie z ABW. Działania, które większość opisuje jako rutynowe, dla mnie oznaczały potrzebę dostarczenia szeregu dokumentów. Największym wyzwaniem było udokumentowanie wynagrodzeń. Student studiów doktoranckich i radny nie dostają wynagrodzenia, ale stypendia i diety. Nie są one zamieszczane w zeznaniu podatkowym. Przez sześć lat w zasadzie nie miałam „normalnych” dochodów. W celu zdobycia odpowiednich zaświadczeń osoby z obsługi (sekretariatu czy studiów doktoranckich) musiały zebrać wszystkie decyzje o stypendiach, przyznanych środkach na konferencje itp. Ostatecznie okazało się, że UŚ na mój rozwój przeznaczył (w formie wszelkiego rodzaju stypendiów itp.) w ciągu 4–5 lat ok. 200 tys. zł. Zastanawiało mnie wówczas, dlaczego to ja jestem przeświatlana, a nikt nie stawia pytania o gospodarność i jakoś

wydatkowania środków podatników. Jak można tyle zainwestować w pracownika, którego bez powodu tak po prostu usuwa się z uczelni. Przecież ktoś i na jakichś zasadach przyznawał mi te środki. Zatem albo bardzo się mylił przez kilka lat, albo błędna i przede wszystkim niegospodarna była decyzja o zakończeniu współpracy.

ABW nie miało moich dylematów. Podczas rozmowy tłumaczyłam się z każdego „wątpliwego” przelewu wykonanego w ciągu ostatnich kilku lat. Wiedziałam, że i tak nikt na mnie nic nie znajdzie. Bo po prostu niczego nie ma. Gdyby coś było, nie czytałabym o tym, że jestem separatystą, ale o czymś konkretnym, podpartym choć w minimalnym stopniu faktami. Nigdy nie wypierałam się tego, że jestem Ślązacczą. Ale też zawsze konsekwentnie mówiłam, że jestem też Polką, a bycie częścią Polski jest dla Śląska korzystne. W trakcie kampanii wielokrotnie podkreślałam, że Śląsk potrzebuje Polski, a Polska potrzebuje Śląska. Głosy za oderwaniem się od Polski zawsze wydawały mi się całkowicie absurdalne.

Wiedziałam, że ABW może przeszukiwać, co tylko chce. Nie ma jednak żadnych możliwości, by coś znalazło, gdyż teza postawiona w artykułach była sprzeczna z moim, nie tylko publicznie prezentowanym, ale również prywatnym poglądem. Jednocześnie nie wyobrażałam sobie, bym mogła przestać być Ślązacczą i postrzegać się jako Ślązaccza (w kontekście etnicznym) i Polka (w kontekście obywatelskim) jednocześnie. Choć wiem, że dla Polaków brzmi to wręcz obrazoburczo, ale nie jestem w stanie czuć się Polakiem w znaczeniu narodowym. Tożsamość jest czymś niezależnym. Po prostu czujemy się takimi lub innymi. Ja czuję się Ślązacczą, która jest Polką. Polska

jest moim państwem, którego dobro jest dla mnie ważne. Śląskość jest elementem mojej tożsamości. Polskiej tożsamości.

Ostatecznie MSZ nie poczekало na decyzję ABW (choć wiedziało, że będzie pozytywna) i najzwyczajniej w świecie wycofało moją nominację. Niby nic wielkiego. Wiele razy zapewne każdy dostał informację, że nie zostanie takiej czy innej pracy. Tragizmem sytuacji było to, że to w zasadzie MSZ zaproponowało mi tę placówkę, MSZ przekazało informacje na mój temat osobom trzecim, MSZ zażądało, bym nie prostowała żadnych informacji na swój temat, MSZ nie wydało żadnego sprostowania, pomimo że informacje były nieprawdziwe, nie zażądało żadnego sprostowania, chociażby artykułów, które twierdziły, że MSZ podjęło decyzję pod wpływem interwencji troskliwych redakcji. Ostatecznie, wpisując moje nazwisko w wyszukiwarce, każdy mógł przeczytać, że Katarzyna Cichos, działaczka popierana przez antypolskich separatystów, wskutek jakiejś kolosalnej pomyłki MSZ (a może nawet w ramach spisku sił niemieckich i antypolskich) miała zostać konsulem w Wielkiej Brytanii, ale na szczęście pod wpływem interwencji redakcji kandydatura została wycofana. W chwili ukazania się cyklu artykułów o bohaterskiej i natychmiastowej reakcji MSZ w artykułach nie było ani słowa prawdy. Miesiąc później, poprzez zwykłe ciche wycofanie mnie z placówki, MSZ uwiarygodniło całą absurdalną historię. A ja pozostałam praktycznie bez przyszłości.

W ciągu zaledwie miesiąca straciłam pracę i to nie tylko tę na placówce, ale również na uczelni czy w jakimkolwiek innym miejscu, bo choć pojawiały się głosy wsparcia, nikt nie chciał zaryzykować pomocy i zatrudnienia osoby o wątpliwej przeszłości. Straciłam szacunek,

którym cieszyłam się w mieście, wielu przyjaciół i znajomych, dla których kilka artykułów okazało się ważniejsze od lat znajomości. Sytuacja ta odbiła się na zdrowiu moich najbliższych, i choć wówczas jeszcze nieformalnie, ale w praktyce już wtedy utraciłam wspólnotę, do której należałam. Jako osoba publiczna, która nadal była radną, musiałam spotykać się z osobami, których pełnych satysfakcji oczu chyba nigdy nie zapomnę.

W trakcie kolejnych spotkań dowiadywałam się, że ze względu na „moje poglądy” (jakie poglądy! myślałam.) nie dostanę pracy na żadnej śląskiej uczelni prywatnej i zmagalam się z bezradnością tych, którzy może i chcieli pomóc, ale bezpieczniej dla nich samych było zostawić wszystko, tak jak było. Z końcem listopada kończyłam swój grant z Narodowego Centrum Nauki. Ostatni element, który łączył mnie z moim dotychczasowym życiem. Zaś kolejne miesiące (i perspektywa totalnie spalonych szans czy nadziei) jedynie utwierdziły mnie, że nie mogę tu zostać, straciłam więc też swoje miasto, swój Śląsk.

Z perspektywy kolejnych ośmiu lat, które ku mojemu zaskoczeniu spędziłam w Warszawie i to niemalże w paszczy lwa, wydarzenia te wciąż wydają się tak żywe, jakby miały miejsce wczoraj. To one miały wpływ na wszystko, co działo w moim życiu przez kolejne osiem lat.

Moim „oprawcom” nie wystarczyło, że pozbawią mnie stanowiska, towarzyszyli mi przez osiem kolejnych lat. Do dziś (wrzesień 2024 roku) nie doczekałam się wyroku sądowego w sprawie o zniesławienie. Nie osiągnęłam zatem żadnych spektakularnych sukcesów i nie znajdziecie ich w tej książce. Bo wszystko, co robiłam, z założenia miało

zostać zablokowane i zniszczone. Ale doszłam do przekonania, że ani przyszłość moich inicjatyw, ani moja przyszłość, ani przyszłość Polski nie mogą zależeć od woli tych osób. Ten rozdział stał się rozdziałem łączącym Ślżaczkę z Polską.

1.

Dzieciństwo

Nie spieszyło mi się z przyjściem na świat. Data mojego urodzenia została ustalona na początek kwietnia. Z jakichś powodów najwyraźniej mi nie odpowiadała, gdyż z początkiem kwietnia nigdzie nie zamierałam się wybierać. W końcu lekarz prowadzący ciążę mojej mamy stwierdził, że albo rodzi teraz, albo za dwa tygodnia, gdyż sam idzie na urlop. W tych dniach moja mama chyba jeszcze sądziła, że mnie przekonam do wyjścia, ale jak się okazało, asertywnością wykazywałam się już w łonie matki. Ostatecznie siłą wyciągnięto mnie podczas zabiegu cesarskiego cięcia 28 kwietnia 1986 r. Byłam zdrowa, ale niewiele brakowało. Czas zwłoki sprawił, że urodziłam się trzy dni po awarii reaktora w Czarnobylu i od razu otrzymałam płyn Logola.

Na świat przyszedłam w Chorzowie, skąd pochodzi cała moja rodzina. Tata Edward wychował się w samym centrum miasta w kamienicy niedaleko rynku, którą zburzono w trakcie budowy tzw. estakady, czyli mostu (fragmentu tzw. gierkówki, drogi wybudowanej przez kojarzonego ze Śląskiem, choć pochodzącego z Zagłębia towarzysza Gierka), który wybudowano dokładnie nad rynkiem w Chorzowie. Mama Dorothea pochodziła z dzielnicy Maciejkowice, gdzie po ślubie przez niecały

rok mieszkali moi rodzice w tzw. familokach. Dzielnica ta wówczas bardzo podupadała. Była jedną z biedniejszych, zmagających się z szeregiem problemów społecznych. Przy pomocy książeczek mieszkaniowych i znajomości rodzicom udało się dostać tzw. mieszkanie zastępcze w Siemianowicach Śląskich, w dzielnicy Bytków. W ten sposób od urodzenia mieszkałam w „nowej” dzielnicy Siemianowic Śląskich, która mimo wszystko zachowała tradycyjny śląski model społeczny.

Byłam dzieckiem książkowym. Moi rodzice przeczytali wszystko, co tylko w tamtych czasach było dostępne na temat wychowania dzieci. Każdy mój dzień czy wydarzenie z życia było skrupulatnie odnotowywane w „Albumie naszego dziecka” autorstwa Anny Korsak-Mikulskiej. Dzięki temu mogę odtworzyć wszystkie przełomowe zdarzenia z mojego życia. Wiem, kiedy zaczęłam przewracać się na brzusek, kiedy odbyłam pierwszą podróż autobusem (25 maja 1986 r., do babci i dziadka, Maciejkowice).

Moje pierwsze wspomnienie dotyczy jednak dopiero przedszkola czy salek. I jest to ...wspomnienie niepewności związanej z „transformacją”, która będzie mi od tego czasu towarzyszyć przez cały okres nauki. Wcześniejsze roczniki do pierwszej komunii przygotowywały się od piątego roku życia w salkach przy parafii. Nasz rocznik miał mieć już zapewnioną religię w szkole. Ale nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy w takim razie trzeba, czy też nie chodzić do salek. Z tego też powodu wiele dzieci, by uniknąć w przyszłości problemów, przychodziło przez rok na dodatkowe zajęcia przygotowujące do pierwszej komunii.

W przedszkolu chodziłam do grupy Smerfów. To było bardzo ważne, gdyż była też grupa... Gargamela. Nazwy wzięły się od naklejek przyklejonych na drzwiach poszczególnych sal. Ten, kto oglądał *Smerfy*, wie, co mogło oznaczać bycie w grupie Gargamela. Do dziś czuję „dumą”, że byłam w Smerfach. O przydzieleniu do danej sali decydował przypadek. Grupa Gargamela nie była gorsza, a nawet w sześciolatkach pokonała nas w zawodach sportowych. A jednak to był Gargamel! Niezwykłe jest, jak ważne są detale i jakie mogą mieć znaczenia nawet dla przypadkowej segregacji.

Przedszkole, do którego uczęszczałam, miało bardzo dobrą opinię. To, że w ogóle grupy miały nazwy, było wielkim sukcesem. A jednak już wówczas mogłam się przekonać, jak poprzez zwyczajnie nieprze-myślane nazwy grup można podzielić dzieci na lepsze i gorsze. Nie mam świadomości, czy nauczyciele zdawali sobie sprawę z animozji pomiędzy dziećmi. Nie wiem też, jak czuły się dzieci z grupy Gargamela. Wiem jednak, że my nie mieliśmy prawa czuć się lepsi (a tym samym mieć poczucie wyższości względem takich samych jak my dzieci z sąsiedniej sali) z racji samego, przypadkowego przydzielenia do grupy, a tak się czuliśmy. Wywołany mechanizm niczym nie różnił się od tego z eksperymentu zaprezentowanego w filmie *Błękitnoocy*. Mechanizm ten niczym nie różnił się też od żadnej segregacji i podziału ze względu na takie czy inne cechy. My byliśmy lepsi, bo Smerfy były dobre, a oni byli gorsi, bo Gargamel był zły. Niewiarygodne, w jak prosty sposób można podzielić świat ludzi i to nawet tych najmniejszych.

Moje dzieciństwo składało się z dwóch okresów: przed i po narodzeniu mojej siostry. Moja siostra urodziła się w styczniu 1992 r.

Z biegiem lat stwierdzam, że w tym czasie nie było najwyraźniej dobrych książek, jak przygotować starsze dziecko na narodziny młodszego. Byłam już na tyle „duża”, by odczuć stratę. Wcześniej mama godziłam się czytać ze mną książki, uczyła wierszy, którymi mogłam potem pochwalić się w przedszkolu. Z tatą chodziłam na spacer, a zimą uczył mnie jeździć na nartach i ciągał po całym parku chorzowskim (dziś Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, największy śląski park, do którego wejście znajdowało się m.in. w dzielnicy, w której mieszkaliśmy, zaledwie kilka minut od naszego domu). Moje dzieciństwo było wręcz idealne.

Urodziny mojej siostry nieco zaburzyły tę harmonię. W tamtym czasie regularnie mogłam się pochwalić w przedszkolu nowym wierszem. Mama uczyła mnie wierszyków Jana Brzechwy. Ale miałam też ulubione książki, które po prostu znałam na pamięć i to w wieku dwóch, trzech lat, wprawiając w zakłopotanie sąsiadów pytających, czy ona już umie czytać?! Kiedy przyszła na świat moja siostra, uczyłam się wiersza J. Brzechwy o sumie. Wcześniej już prezentowałam wiersz o żabie. W przedszkolu siadaliśmy w kole i każde dziecko mogło się czymś pochwalić. Od mojej ostatniej recytacji upłynął już jakiś czas, dlatego nauczycielka zapytała, czy nie chcę powiedzieć wiersza. Wyrecytowałam ten o żabie, bo o sumie znałam tylko do połowy. Usłyszałam wtedy pytanie, które w uszach dziecka zabrzmiało jak zarzut, „nie nauczyłaś się nowego?”. Nie zareagowałam, choć miałam ochotę krzyczeć, że nie, bo urodziła mi się siostra i mama nie ma dla mnie czasu. To była pierwsza strata. Przestałam się uczyć wierszy. Wiersz o sumie pozostał na zawsze niepoznany. Przypuszczam też, że nie

wynikało to z tego, że mama nie chciała kontynuować naszego zwyczaj, po prostu miała dużo innej pracy lub uznała, że ja straciłam zainteresowanie. Ja zaś poczułam się upokorzona przez nauczycielkę (żadne inne dziecko nie było w stanie powiedzieć żadnego wiersza, a to ja wyszłam na nieprzygotowaną). Rodzice powinni współpracować z wychowawcami w przedszkolach i szkołach. Ich pomoc może być bezcenna, zaś ich niewiedza o sytuacji w domu, nowych okolicznościach czy problemach może całkowicie przypadkowo wywołać lub pogłębić kryzysy, z którymi borykają się najmłodszy.

Pierwszy kryzys został jednak dość szybko zażegany. Wcieliłam się w nową rolę i ze swoją koleżanką Kasią (z parteru, podczas gdy ja byłam Kasią z drugiego piętra) mogłyśmy zamiast bawić się wózkami z lalką, wozic po osiedlu prawdziwe dziecko. Wówczas też mój tata został trenerem dziecięcej sekcji Pszczyńskiej akademii Sztuk Walki Kung Fu i zaczęłam chodzić na treningi. Oczywiście rodzice nie od razu wystali mnie na sztuki walki. Pierwotnie chcieli, bym uprawiała gimnastykę. Podobno (nie pamiętam, gdyż najwyraźniej wyparłam to z pamięci), kiedy zobaczyłam krzyżącego trenera na moje rówieśniczki, powiedziałam, że najzwyczajniej nie chcę tam chodzić. To pozwoliło mi (do czasu) odbudować równowagę po narodzinach siostry.

Moje idealne dzieciństwo trwało. W tym samym bloku mieszkała Kasia, która była o rok starsza, Rafał w moim wieku i Sebastian o rok młodszy. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. W tamtym czasie, choć jako dziecko nie odczuwałam tego jakoś specjalnie, w porównaniu do rówieśników moja rodzina była biedna.

Początek lat 90. to bardzo trudne gospodarczo lata dla Śląska – większość przemysłu upadła, powodując w Siemianowicach ponad 30-proc. bezrobocie. Choć moi rodzice pracowali oboje, ich wynagrodzenie gwarantowało nam normalne, ale raczej skromne życie. Spośród znajomych dzieci byłam jedyną, która miała rodziców przez cały czas na miejscu. Tata Kasi wyjeżdżał za granicę, by więcej zarobić. Na początku lat 90. miała cały domek Barbie, specjalny basen, samochód i co tylko może sobie mała dziewczynka wymarzyć. Sebastiana rodzice również wyjechali za pracę i wychowywali go dziadkowie. Dla odmiany miał kilka rozbudowanych torów samochodowych. Rafała rodzice nie mieszkali razem, ale każde dbało, by niczego mu nie brakowało. Z dzisiejszej perspektywy mogłabym powiedzieć, że w tym czasie poznałam, co to znaczy w praktyce koncepcja ekonomii współdzielenia (*sharing economy*).

Ekonomia współdzielenia jest zjawiskiem zarówno społecznym, jak i ekonomicznym, bazującym na założeniu zdolności ludzi do współpracy i wzajemnej pomocy, polegającym na zmianie modeli organizacyjnych i dystrybucyjnych i łączeniu ze sobą jednostek, społeczeństw i ich zasobów, umożliwiając jednocześnie bezpośrednie świadczenie sobie usług, jak również np. współużytkowanie tych samych produktów, co prowadzi do zwiększenia efektywności wykorzystania dostępnych zasobów. Dzisiaj mamy możliwość dzielenia się rowerem, samochodem czy elektryczną hulajnogą, są projekty, w których sąsiedzi wymieniają się narzędziami czy nawet świadczonymi wzajemnie usługami, w ramach różnego rodzaju inicjatyw, typu banki czasu. Dla mnie ekonomia współdzielenia oznaczała, że chociaż nie

posiadałam na własność zbyt wielu topowych i drogich zabawek, które zresztą dla wielu osób w tamtych czasie były zupełnie niedostępne, to dzięki uprzejmości kolegów i koleżanki mogłam się nimi bawić, nie czując tym samym żadnego braku.

Osobiście pierwszą Barbie (która wówczas w świecie dzieci z osiedla była symbolem dobrobytu) wygrałam na jakichś zawodach w szkole podstawowej. Nigdy jednak nie lubiłam bawić się lalkami. Bawiłam się domkiem Kasi z parteru, ale o wiele bardziej podobały mi się tory samochodowe Sebastiana. Sama też, jak na dziewczynkę przystało, miałam dwa ładne samochody. Od dziecka rodzice dawali mi możliwość rozwoju własnych silnych stron, a nie takich jakie „powinnam” rozwijać.

Czasami mam wrażenie, że rodzice przerzucają na dziecko własną wizję jego życia. Kiedy z koleżanką z dzieciństwa zdecydowałyśmy, że będziemy w przyszłości policjantkami, jej mama z przerażeniem dopytywała moją, co zamierza z tym zrobić. Koleżanka (córka lekarki i prawnika) już wówczas miała jasno określoną ścieżkę kariery. Moi rodzice nie byli inni, mieli tylko inną wizję mojego życia i wiązali z nim raczej swoje niespełnione plany dotyczące np. sportu. Ostatecznie koleżanka zgodnie z oczekiwaniami, a ja chyba jednak im wbrew, wiele lat później zdecydowała się studiować prawo, podobnie jak ja. W tamtym czasie jednak ważniejsze były drzewa, na które można było wejść, czy trzepaki, które służyły niemalże za lekkoatletyczne urządzenia.

Z perspektywy lat mam wrażenie, że moje dzieciństwo było wręcz idylliczne. Miałam kochających rodziców, wspaniałych przyjaciół, rodzinę, w tym grono kuzynów i kuzynek, z którymi spotykaliśmy się

regularnie. Mieszkaliśmy na bezpiecznym, czystym i zielonym osiedlu i chodziłam do dobrej szkoły. Jedynym problemem pozostawało mieszkanie. Było po prostu zbyt małe dla dwójki dzieci. Pierwsze dwa lata w szkole sprawiły, że moje życie znowu było niezależne od młodszej siostry. W wakacje po drugiej klasie podstawówki po raz pierwszy, z perspektywy dziecka, miałam poczuć, co to znaczy utracić wszystko.

Przeprowadzka. Potem przeprowadzałam się wiele razy. Ta pierwsza jednak wydawała się tragedią życia. Zamieszkaliśmy niedaleko. Nasze wcześniejsze osiedle było położone obok parku i tzw. Lasku Bytkowskiego. Nowe mieszkanie, które nie było wiele większe (47 m²), ale miało trzy pokoje, było usytuowane dostawnie po drugiej stronie tego lasu. Równie dobrze mogłabym jednak wyjechać za ocean. Lasek nie był uważany za zbyt bezpieczny, a tym samym nie mogłam nawet na rowerze przyjechać w odwiedziny do kolegów. Przeprowadzka wiązała się ze zmianą szkoły. Poprzednia miała świetną renomę. Teraz mieszkaliśmy koło „szkoły w lasu”, której renoma była raczej zła. Ostatecznie poszłam do szkoły oddalonej nieco dalej, która wydawała się lepszym rozwiązaniem.

Wcześniej mieszkaliśmy na miłym osiedlu czteropiętrowych bloków, a trafiliśmy na szóste piętro typowego, wybudowanego dla osób sprowadzanych do huty czy kopalni postkomunistycznego blokowiska. Miało to wpływ nie tylko na estetykę osiedla, które było po prostu szare i wydawało mi się bardzo brzydkie, ale również na relacje między ludźmi. Osiedle, tak samo jak nasz blok, było w większości zamieszkałe przez osoby przyjezdne. Siłą rzeczy zatem czuły się obco. W dzielnicach Ślązaków wszyscy się znają. Czasami graniczy to wręcz

ze wścibstwem, gdyż wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Osiedla zamieszkałe przez przyjezdnych przez wiele lat pozostawały znacznie bardziej zamknięte. Były, ale też często nadal są, tylko sypialniami. Podobnie wygląda to w Warszawie czy w każdym innym mieście.

Próby pozyskania nowych osiedlowych znajomych nie do końca się udały. Do tego, choć wydaje się to nieprawdopodobne, ale dopiero w trzeciej klasie podstawówki zetknęłam się z takimi zjawiskami, jak obgadywanie, obrażanie, skłócanie.

Po kilku miesiącach w nowej klasie odbyły się dodatkowe wybory do trójki, w których obaliłam ówczesne władze. Z czasem jednak sama stałam się mniej uprzejma. Na zebraniach moja mama wystuchiwała o tym, że jestem najlepsza, ale bezczelna, słucham na lekcjach tylko wtedy, kiedy chcę. Szkoła mnie nudziła. Zadania robiłam znacznie szybciej niż rówieśnicy i najzwyczajniej w świecie nie miałam co robić w trakcie lekcji.

Lubiłam bardziej wymagające lekcje, jak np. język polski. Naszą nauczycielką była dyrektorka szkoły. Jedna z lepszych polonistek w mieście i najprawdopodobniej najbardziej wymagająca. Przypuszczam, że w wielu osobach lekcje polskiego wywoływały traumę. Pani Wojtasik potrafiła, mówiąc delikatnie, się zdenerwować, a nawet rzucić czymś zeszytem. Robiliśmy nieskończone liczby ćwiczeń z gramatyki. Stosowała też wręcz maturalne zasady oceny z ortografii. Każdy błąd powodował ocenę niżej z wypracowania.

W czwartej klasie po raz pierwszy zostałam wysłana na badania dysleksji. Po przejściu naszej klasy pani Wojtasik wysłała na te badania kilkoro dzieci. Okazało się, że jestem klasycznym przykładem

dyslektyka. Ortografia na zawsze pozostanie dla mnie czymś nieosiągalnym. Czasem irytują mnie stwierdzenie osób, które nie mają pojęcia, co to znaczy mieć jakąś dysfunkcję, sugerujące, że pewne dzieci są po prostu leniwe i gdyby więcej przysiadły, toby się nauczyły. Niestety, ale tak to nie działa. Dyslektyk może zrobić tysiące zadań, a i tak w każdej chwili może napisać ktury... no właśnie przez „u” otwarte. A to jedynie szczyt góry lodowej.

W tym okresie po raz pierwszy zetknęłam się też z czymś, czego nie można ominąć. Ułomność, niepełnosprawność, na którą nie ma się wpływu, choćby nie wiadomo, ile przeczytało się książek, zrobiło ćwiczeń, nauczyło się słówek na pamięć. Chwila nieuwagi powodowała błąd. Za wszystkie zadania (i to na zasadzie wyjątku) zaczęłam dostawać dwie oceny. Najczęściej była to piątka lub szóstka i jedynka lub dwójka za ortografię. Pomimo słabych stopni z ortografii czy za prowadzenie zeszytu na koniec zawsze dostawałam ocenę bardzo dobrą. Moja kolejna (również bardzo dobra) polonistka, pani S. Szkaradek, po latach przyznała (na Śląsku wszyscy się znają i nie ma w tym stwierdzenia przesady), że dostała jasne zalecenie od swojej poprzedniczki „nie zepsuj jej”. Dysleksja jednak do dziś uświadamia mi, że są ograniczania, które są od nas niezależne i możemy jedynie nauczyć się z nimi żyć. Prawidłowa diagnoza dziecka nie tylko pozwala na jego lepszy rozwój, ale przede wszystkim oszczędza mu przykrości i upokorzeń. Dzisiaj wielu rodziców nie godzi się na wysyłanie dzieci w celu ich zdiagnozowania. Nauczyciele często prowadzą wieloletni bój z próbującymi za wszelką cenę udowodnić swoje racje rodzicami, którym dziecko z taką czy inną dysfunkcją wydaje się gorsze, czego

nie potrafią zaakceptować. W ten sposób dzieci nie tylko z dysleksją, ale również ze spektrum autyzmu, nie otrzymują odpowiedniego wsparcia przez długie lata. Niezbędna zgoda rodzica w celu zdiagnozowania dziecka umożliwiającą mu prawidłowy rozwój wydaje się absurdalna. To mimo wszystko nauczyciele odpowiadają za prawidłowy rozwój małych w szkole. By móc go zapewnić, muszą wiedzieć, z jakimi niezawinionymi trudnościami dane dziecko się mierzy. Właściwa diagnoza powinna leżeć w obowiązku szkoły i wychowawcy, a nie być uzależniona od woli rodzica, który czasem może i w dobrej, choć niewłaściwie pojmowanej wierze, a czasem wręcz przez ignorancję potrzeb i dobra dziecka, co w innych państwach skutkowałaby – nie boję się tego powiedzieć – pozbawieniem go prawa do opieki, blokuje szansę na lepszy jego rozwój. Mnie „zdiagnozowano”, co pozwoliło mi zaakceptować fakt, że mam prawo robić błędy bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie.

W 1998 r. uruchomiono cztery wielkie reformy. Jedną z nich było utworzenie gimnazjów. Z tego też względu w piątej klasie podstawówki cały rocznik wszedł w fazę eksperymentalną, która trwała aż do „nowej matury”. Nikt nic nie wiedział i tak było aż do samej matury. W związku z tym, że chciano nam jednak ułatwić proces przejścia, przygotowano szereg spotkań i rozmów o tym, co ma nastąpić. Dostaliśmy np. indeks gimnazjalisty. W trakcie jednej z lekcji w klasie szóstej (po której od teraz miała się kończyć szkoła podstawowa i rozpocząć gimnazjum) mieliśmy np. zaprojektować swoje wizytówki. Kim będziemy za kilkadziesiąt lat. Podczas gdy koleżanki i koledzy chcieli być nauczycielami, kierowcami, policjantami czy sprzedawcami, ja

na swojej napisałam: „profesor historii”, co oczywiście wywołało dość dużą konsternację nauczycielki, dającej mi do zrozumienia, że chyba jednak przesadziłam. Z dezaprobatą poinformowała o tym nawet moich rodziców... Którzy na szczęście zapytali jedynie o to, a co oni mają z tym zrobić. Prywatnie, dodając, no przecież to nie przestępstwo. Zresztą kilka lat wcześniej chciałam być policjantką, więc podchodzili do moich dziecinnych pomysłów z dość dużym dystansem.

Był to jednak pierwszy, choć nie ostatni raz, kiedy zetknęłam się z brakiem wsparcia dla indywidualnego rozwoju dziecka, który do dzisiaj stanowi piętę achillesową w polskich szkołach. Postawa nauczyciela względem ucznia może zaś być kluczowa dla jego rozwoju. Już w latach 60. w Stanach Zjednoczonych przeprowadzono badanie, w którym dostrzeżono relację pomiędzy nastawieniem nauczyciela a późniejszym sukcesem dzieci rozpoczynających naukę w szkole. W badanej grupie dzieci (zarówno pośród należących do grup stereotypizowanych, jak i niestereotypizowanych) wytypowano dość przypadkowo 20 proc. dzieci, które w najbliższych miesiącach powinny osiągnąć wyjątkowe wyniki ze względu na wyniki testu IQ. Nauczyciele nie wiedzieli, że dzieci wybrano losowo, zaś ich wyniki w niczym nie różniły się od pozostałej części klasy. Kiedy po roku ponownie przeprowadzono testy IQ, dzieci, które trafiły na listę przyszłych prymusów, uzyskały znacznie lepsze wyniki, niż te, które na tej liście się nie znalazły. Sami zaś nauczyciele ocenili wskazane dzieci jako te, które miały być bardziej ciekawe świata, szczęśliwsze czy przejawiające słabszą potrzebę aprobaty społecznej. Pozytywnym wynikiem badań było stwierdzenie, które powinno zostać włączone do każdego systemu

edukacji, że gdyby nauczyciele spodziewali się, że wszyscy uczniowie uczynią znaczące postępy, poziom rozwoju dzieci byłby znacznie wyższy. Negatywnym wnioskiem, z którym zmagają się również polska edukacja, jest to, że stereotypy i uprzedzenia stanowią błędne koło, nauczyciel z góry domyśla się problemów czy ocenia możliwości dziecka ze względu na pochodzenie z takiej czy innej rodziny. To powoduje świadome bądź inne traktowanie wskazanego ucznia, którego naturalnym skutkiem jest dystans ucznia do nauczyciela i bunt skutkujący pogarszającym się zachowaniem i coraz słabszymi wynikami w nauce¹. Polska szkoła nie jest przygotowana ani do tego, jak radzić sobie z dziećmi z problemami, ani jak radzić sobie z dziećmi zdolnymi. W większości przypadków działania skupiają się na tym, by średnia zachowania i wyników w nauce była akceptowalna i by kolejne roczniki mogły daną szkołę ukończyć. Bez zindywidualizowania procesu kształcenia i dostosowania go do możliwości i predyspozycji dziecka nie będziemy w stanie zbudować społeczeństwa ludzi świadomych swoich mocnych i słabych stron, a tym samym gotowych, by podejmować zadania, w których będą się realizować w przyszłości.

Moje marzenie o pracy naukowej z dzieciństwa nie wiązało się jednak z chęcią pisania artykułów naukowych czy prowadzenia pracy badawczej. Zresztą nikt specjalnie nie zainteresował się, skąd u dziecka tak oryginalny pomysł. W tym czasie oglądałam serial „Młody Indiana Jones”. Przygody młodego Indiana nie były jednak moim marzeniem. Moim ulubionym bohaterem był jego ojciec, profesor historii, który

¹ T. Gilovich i L. Ross, *Najmądrzejszy w pokoju*, Sopot 2017, s. 237–238.

jeździł po całym świecie i poznawał ciekawych ludzi. Odkąd pamiętam, zawsze chciałam wyjechać z Polski. Bardzo szybko zrozumiałam, że polska historia to nie jest przedmiot, który można wyklądać w dowolnym państwie świata, a film dotyczył okresu kolonialnego. Z tego też względu musiałam zmienić swojej plany i ostatecznie skupiłam się na prawie międzynarodowym, prawach człowieka, zrównoważonym rozwoju itd. Świadomie czy też nie, wszelkie decyzje podejmowałam tak, by móc poznać świat, który mnie po prostu fascynował i którego nie mogłam poznać, pozostając w Siemianowicach Śląskich.

Czasami miałam wrażenie, że reforma była zrobiona specjalnie dla mnie. Po pierwsze dała mi szansę na kolejną zmianę szkoły. Przeprowadzka i związana z tym utrata przyjaciół, których nie udało mi się zastąpić (pomimo poznania fantastycznych osób, czy nawet doświadczenia pierwszych zauroczeń) w nowej szkole, spowodowały, że stałam się trudnym dzieckiem. Bunt podobno przeżywają dzieci w wieku gimnazjalnym, ja swój przerobiłam w podstawówce.

Po szkolnych zawodach zaproponowano mi przejście do klasy sportowej piłki ręcznej. Miałam mieć dziennie dwie godziny wychowania fizycznego, rozgrywki ligowe lub dodatkowe treningi w soboty i obozy sportowe w wakacje. Była to też szansa, by nie iść do szkoły w „lasku”, którą przekształcono w gimnazjum i już istniały obawy, że poziom w niej może być bardzo niski. Przyszłe gimnazjum mieściło się po drugiej stronie miasta, co jedynie utwierdzało mnie w przekonaniu, że trzeba skorzystać z możliwości ucieczki.

Już na pierwszym obozie sportowym przekonałam się, że to nie świat jest niemiły, tylko ja. Klasa, do której trafiłam, była chyba

najlepszą, jaką kiedykolwiek miałam. Około 20 fantastycznych dziewczyn (były też dwie klasy sportowe chłopców). Gimnazjum było dla mnie czasem przełomowym. Przede wszystkim rozumiałam, że współodpowiadam za relacje panujące w klasie czy w drużynie. Doświadczyłam tego, jak ważna jest drużyna i samopoczucie każdego z jej członków. Rozumiałam, że pewnych celów nie da się osiągnąć w pojedynkę, zaś efekt bardzo często zależy od rezultatu pracy osoby najstarszej. To często okoliczności (bardzo często niezależne) i brak odpowiedniego wsparcia sprawiają, że ktoś zwalnia i odłącza się od reszty. W tej klasie rozumiałam też, że osoba, która przegrała, nie musi być gorsza, głupsza czy mniej wartościowa. Byłyśmy zgraną grupą. Potrafiłyśmy grać naprawdę dobrze. Zdarzało się, że remisowałyśmy lub wygrywałyśmy na turniejach z najlepszymi drużynami w Polsce. W naszej lidze przegrałyśmy jednak (poza jednym zremisowanym meczem) dosłownie wszystko. Moja mama czasami, kiedy opowiada o różnicach pomiędzy mną a moją siostrą w dzieciństwie, przytacza historię z czasów przedszkolnych mojej siostry. Zaczyna od tego, że Kasia zawsze musiała być najlepsza, musiała wygrywać. To, że Agatka będzie inna, rozumiała, gdy kiedyś przyszła z przedszkola i powiedziała, że w jakichś zawodach sportowych (sport nigdy nie był w przeciwieństwie do mnie jej silną stroną) była ostatnia. Moja mama, przyzwyczajona do sukcesów starszej córki, wykazała troskę, czy to doświadczenie nie wpłynie negatywnie na Agatkę, wyraziła swoje wsparcie. Na co moja siostra, jakby nigdy nic powiedziała: „Mamo, przecież ktoś musi być ostatni”. Moja mama do dziś pamięta, oczywiście nieokazane wówczas, ale mimo wszystko przerwienie,

powstałe w wyniku zetknięcia się z wydawałoby się pozbawioną ambicji postawą młodszej córki. W gruncie rzeczy jednak moja siostra (która później ukończyła dwa kierunki studiów i nie z mniejszą ambicją realizuje swoje plany zawodowe i rodzinne) wyraziła wówczas to, czego ja doświadczyłam w gimnazjum. Ja nie jestem gorsza, dlatego że przegrałam. Raz wygrywamy, a czasem ktoś musi być ostatni. Ważne, by szukać przestrzeni, w której będziemy czuć się mocni. Dla mojej siostry tym miejscem stała się muzyka, praca z dziećmi i młodzieżą czy ekonomia. Z moją klasą przez trzy lata byłyśmy najgorsze w lidze, choć byłyśmy świetną klasą, ale z jakichś powodów przegrywałyśmy.

Niezwykłe jest też to, jak pewne wspomnienia zakopujemy głęboko. Kiedy trener zaproponował moim rodzicom zapisanie mnie do klasy sportowej, jednym z problemów pozostawał dojazd. Dla 13-latki podróże komunikacją miejską, w tym dojście do oddalonego przystanku, stanowiły pewne ryzyko. Trener zaproponował wówczas, że w miarę możliwości będzie mnie odwoził po treningach. Najczęściej zabierał mnie i jeszcze jedną dziewczynkę, która mieszkała ciut bliżej. Ja siadałam z przodu, ona zaś wychodziła w połowie drogi. Niewiele trzeba by zrozumieć, że zły dotyk boli przez całe życie. Zdanie stwierdzające: „Gdybym tak swoją rękę zamiast na drążek dał na twoje kolanko”, do dziś dźwięczy mi w uszach. Do teraz też czuję tę rękę i... bezradność. Od zaskoczenia począwszy, po konsternację, co należy zrobić. Za pierwszym razem się nie odezwałam. Po prostu wróciłam do domu i miałam nadzieję, że coś mi się przewidziało. Ale historia się powtórzyła. Ręka trenera po raz drugi, zamiast na drążku, znalazła się na moim kolanie.